

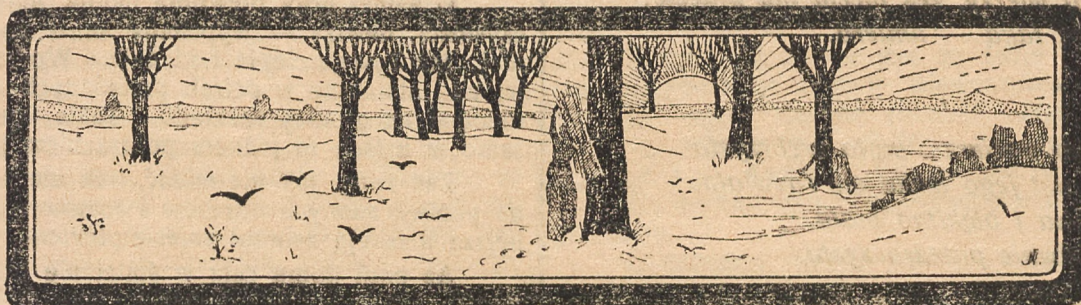
Nr. 50.

Rok V.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 grudnia 1911.



Marja Konopnicka.

Bez dachu.

Noc się podniosła, cała w mgłach i bieli,
I srebrnem tchnieniem owiała stolicę,
I brylantowych iskier błyskawice,
Roztliła w śniegów pościeli.

Kto miał ognisko własne i ramiona,
Co go czekały, jak pieśczęt ponętą,
Mówił do nocy tej: „błogosławiona“,
Kto nie miał, mówił: „przeklęta!“

A takich głosów było, ach! tysiące...
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...
O gwiazdy! czy Bóg je usłyszy?

Patrzycie blade i ja patrzę blada.
Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę...
O gwiazdy! jeśli która odpowiada,
Ja was dostyszeć nie mogę!...

O nocy srebrna! o nocy królowo!
Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...
A mglistą szronów zasłonę nad głową
Spinasz zastygłych łez perłą.

O nocy! czyliż gwiazd twych jasnych z nieba
Pragnie ta ciżba, wybladła i skrzepła!
Przez litość, słuchaj! wszak oni chcą chleba
I tylko troszeczkę ciepła.

Ach! gdybym była tobą, o królowo!
Największy brylant, co w lazurach świeci,
Dałabym nędznym w tą zamieć śniegową
Na chleb i ogień dla dzieci...

I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,
Gdyby za jedną tę gwiazdę w błękicie,
Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,
Świeciły łzami w powietrze...

O nocy! idziesz cicha, lodowata,
Nad czołem twojem skrzy śniegów korona;
A twoja srebrna, ciężka, długa szata,
Całunem jest — dla miliona.

Przed bramą, w której płonęły latarnie,
Stanął chłopczyna w tą mroźną zawieję...
Biedny! on myślał, że mur go przygarnie,
Że go ten kamień ogrzeje...

Lecz stróż drzwi zamknął na rygle... i naraz
Łzy się dziecięce, jak perły rozsnuły...
— „Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras
Dla wszystkich... śledztwo... cyrkuły!“

Chłopczyna odszedł, płacząc, — Tam w oddali,
Widać świątyni granitowe mury...
A ponad nimi mgła białych opali
A wyżej lodowe chmury.

I krzyż. Sierota ukleknął przed progiem;
W powietrzu, szronów latały dyamenty...
Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był zamknięty,
Razem z litością — i z Bogiem.

Ach! gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, żeby chodził ciemnymi nocami
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy,
I tulił u swych ołtarzy.

*Skostniałe dziecię szklanemi oczyma
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna lśni droga:
Chciało się skarżyć, lecz matki już niema,
Mówiło zatem do Boga:*

*— „Ojczy nasz“... Jakto, o synu królewski!
Ojca twojego narody zwą Bogiem,
A ty, wypatrzony w ten pałac niebieski,
Konasz, bez dachu, za progiem?*

*„Ojczy nasz“ mówisz... a czym ty bratem?
Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą,
I głośnym, pełnym puhałów wiatem
Gasnące jęki twe głuszą?*

*„Ojczy nasz!“... Boże, czy słyszysz to dziecię,
Co usta z nędzy otwiera?
Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie;
I z wiarą taką — umiera.*

*Dziecię mówiło pacierz... mgła srebrzysta
Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiła,
Z razu gorętsza i błękitno biała,
Później — dziwnie przeźroczysta.*

*Wreszcie znikła... wpół otwarte wargi
Przestały szeptać modlitwy i skargi...
Wobec ciemnego, milczącego gmachu,
Dziecię skonało bez dachu.*



JULJUSZ KADEN.

D O S T A T E K.

Różny koniaczek i jędrne zakąseczki budziły ciekawość apetytów. Zwłaszcza koniaczek: na chwile przestąpił oczy, skocznym gorącym zahuczał w uszach i zdążył załaskotać pod kolanami, wyciągając na chłodne, białawe z głodu ręce napęczniałe miłym żarem sine żyłki.

Przerzucając się uprzejmą ceremonią słów, naoliwionych masłem sardyńkowym, usiedli do stołu.

Rozmowę strzępili urywaną. To ją przeplatało dyskretnie skubanie kromek chleba, to nagle radość przedobnie dniej chwili, to znów zniecierpliwienie rozkapryszonego głodu.

Słońce sprzyjało, z zapalem, z entuzjazmem oświetlając cały stół. Mrużyły się oczy od blasku kieliszków, nożów, widelców, widelczyków, łyżeczek i rozmaitego kryształu. Biesiadnicy patrzyli w słońce, lub wzajem na siebie, sącząc przez zwarte zuchwy uprzejmy śmiech cierpliwości.

Mimo celowo wytrzymany głód, mimo, wstrzemięźliwością niejedzenia od drugiego śniadania aż do obiadu zapracowany apetyt, (na drugie śniadanie tartinka z szyneczką pragską lub pasztetą z gęsich wątróbek i naparstek czerwonego wina) mimo ten apetyt, przy długim oczekiwaniu na pokusę prostego chleba wystawiony nikt nie tracił właściwie dobrego humoru. Gdy bowiem już-już, ów dobry humor urywać się miał i zasępieć — podtrzymywały go widome wdzięki jadalni.

Ze ścian drzewem do połowy wyłożonych — drzewem, by pokojowi nadać pozór prostoty i prastarej, kmieć skromności — wychylały swe ponętne poderżnięte głowy, malowane cietrzewie i bażanty. Wypukłe oczy pta-

ków zdawały się dziękować za poniesioną śmierć i prosić się na rożen. Po drugiej stronie, głową w dół zwisłe zające, podbrzuszem lekko krwią zrumienionem, przypominały widzowi ciche zimowe pola i polowanka. Te krótkie ukłucia radości w sercu, gdy widzisz zwierze, twoją właśnie kulą ugouzone, w śmiesznych koperczakach konające. Podczas kanonady pisk pań, co patrzą zdaleka z sanek. Potem wspólne śniadanko, gdy pocziwi gajowi ogień roznieca. Jedzenie soczystych marynat pośród cichutkiego lasu i omdlałej białości śniegu na sosnach. Ten szczerzy kmiołek na gonki, nowoczesnymi zwyczajami niezspsuty, nie za kilka groszy, a przez szacunek z całowaniem do rąk opiekuńczych się garnący. Ten spacer do sanek, to wsadzanie pań i to podsadzanie panienek — ta cała rozkoszna przyroda.

Na trzeciej ścianie malunek biało-szary. Jedzenie bardziej pokojowe, raczej pokutne, jedzenie cnotliwej rezygnacji i nabożnego posłuszeństwa, postne — ryby i rybki. Patrzą w dal sennymi oczyma i przypominają swem białem mięskim tęsknotę do zagrobowego życia.

U samej góry niewinna panna, najsmaczniejszych uroczystości dewiza — wypchany biust sarenki. Futerko na niej, jak żywe, ciepłe i gładkie. Wprost czujesz w myśli jej udo starannie w oclach przeróżnych bajcowane, stojące nieomal na granicy rozkładu. Takie kruchutki, że ci się samo w ustach za jednym poruszeniem języka rozpląwa.

Zaś zupy, jak nie widać, tak nie widać. Oglądaniem na pamięć znanych obrazów i rozmową, zresztą coraz ważniejszą maskują zebrani zniecierliwieni.

Aż pani domu cała w śmieszenie białych koronek, ręce jeszcze cokolwiek od słońca nadmorskich kąpielii spalone i chropawe, nagie do łokci — z chrupkiego kremu koronek, niby dwa wielkie biszkopty, otrząsa. I załamuje w omdleniu złości i ciężko ciska na stół. Twarz z złotej stała się ceglastą. Jedną ręką niecierpliwie szczypie spoconą zmarszczkę podbródka, druga szuka przy nakryciu emaljowanego krążka z dzwonkiem elektrycznym, ustami zaś śmieje się do rozmowy. Już znalazła. Wpycha migdałowy paznokieć w emaljowany lazurem pępuszek krążka, naciska kostkę twardo, raz, drugi i trzeci. Poczem palec zbierały od naporu bierze na chwilę do ust, drugą ręką klepie obok siebie siedzącego męża i mówi: „Zaraz, zaraz podają.“

Rzekłszy, uprzejmie patrzy przez siebie na kredens, którego służący znów porządnie nie okurzył. Bydlę — nie fugas — przemknęło jej przez głowę.

Kredens stał na prawie całej połowie ściany, ogromny, oszklony, piętrowy, niby ołtarz. Obłaziła go dokoła płatanina rzeźbionych dyndełków, dziubków i faramuszek, wśród których zgięci, ciężarem półek jadła pełnych, przynięceni aniołkowie, z uśmiechem wyglądali na pokój. Kredens ten stanowił chlubę gospodyni, bo chyba cudem jakimś odkryła go na licytacji mebli po ś. p. koledze męża. A co najważniejsze, wspaniały ten mebel, stylem krewnił się ze stołem, który, również ona sama, przez znajomość, okazyjnie kupiła od znanego adwokata (musiał natychmiast sprzedawać wszystko, bo mu wypadła nagle jazda do Ameryki...). Tacy sami jak ci z kredensu, aniołkowie, stanowili zakończenie czterech nóg stołu, jeno że tu siedzieli nie pod półkami, a każdy na długim, potwornym smoku. Robota była piękna, zręczna i droga, jeno że niepraktyczna. Bo aniołkowie tak właśnie mieli pochylone głowy, że siedzącemu za stołem, najwygodniej było na nich opierać stopy. Ta mimowolna nieostrożność tak wszystkim w końcu douczyla — zwłaszcza że starią rzeźbę wciąż od nowa werniksować wypadało — że, by się odwyczać, postanowili za każde kopnięcie aniołka rzucić coś do puszek na ubogich.

To też teraz, gdy pani domu, zniecierpliwiona, z posuwistym szumem jedwabiu uniósł pod stołem nogę i gniewnie oparła lakierkę na puculowatej twarzyczce aniołka, syn jej dwudziestoletni, poeta, wyciągnął skarbonkę ku matce. — Skarbonka ta stała zazwyczaj na środku stołu, tuż obok dwójczków z solą i pieprzem. — Ale pani domu w lot zrozumiała niewłaściwą intencję syna. Spłoniona aż po czarny wałeczek sztucznego włosia nad czołem, głośno obie stopy na karbowanej główce rzeźby postawiła, raz, drugi i raz za razem — na złość.

Niech jaje nie będzie mądrzejsze od kurki — rzekła symowi, wysypując z dwójczków do skarbonki dla ubogich sporą krztę pieprzu.

Tak dowcipnie to wypadło, tak się nikt tego nie spodziewał, nauczka była tak dosadna, że wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Zatrząśł się cały stół a po szkle i kryształach przeleciał jasny, zimny dreszcz.

Nareszcie drzwi otwarto na oścież. Wszedł prosty człowiek w białym krawacie, ogolony i w białych rękawiczkach. Na dużej tacy niósł wazę dymiącą, obok leżała połączana tyga.

Na zdobnie tłoczone, pięknie malowane niezabudki talerzy spłynęła złota, wonna, dymiąca ciecz. Przed każdym z jedzących zatrzepotało w naczyniu tłuste jeziorko.

Czekali, póki pani domu wszystkim rozdawszy, sama nie nabierze.

Choć jesień już oddawna staniała się po świecie, tu, w złotej ciszy kwitła wiosenka. Lekko prowadząc łyżkę w pogoni za płynnym oczkiem tłuszczu, to młodą marchewkę tracałeś niedbale, toś spotkał blady, żyłkami przerośnięty, uduchowiony płatek seleru, to jeszcze płochliwe strzępy zielonej pietruszki pędziłeś srebrną krawędzią łyżki, to znów, bogactwem jarzyn zafrasowany, mijałeś ostrożnie młodocięne główki szparagów. Tam i sam, w naiwnym igrasze trącały się wzajem świeżutkie ziarenka francuskiego groszku.

Fagas, wdzięcznym pani ruchem precz odegnany, stanął na warcie pod kredensem, latając pilnie spojrzeniem to po stole, to między jedzącymi, czy aby komuś czegoś nie trzeba. Twarz poważna skupiona, zeszurowana godną lecz uległą pokorą, z zapobiegliwym wysiłkiem śledziła rozlewne, a w każdej chwili nowy rozkaz wyrazić mogące ruchy pani domu.

Płyn niesłychalnie nikt w coraz wydłużających się ustach, wiosenka jarzyn ginęła spiesźnie. Zmienił się ton rozmowy. podczas gdy wyprężony fagas każdym ruchem za swą osobę przepaszający i fertyczna pokojówka zbierali głębokie talerze, — dyskutując pogodę, pozierano w okna, przesłonięte białymi firankami. Białe, koronkowe, niby przy kolanie, sutym pękiem rosety podpięte, podobne były do koronkowych, szerokich nogawic, przez które wyblyska na pokój słoneczna okrągłość zenitu.

Wspomnienie złotego rosoliu przedło się w słowach ze złotem słońca. Złoto słońca, przylgnąwszy do płęścieni i broszek, pryskało w krótkich wypryskach na wszystkie strony. Cieniutkie pryzmaty tęcz przeciągały się lubieżnie w szklankach, lub na obfitym brzuchu karafki, w której jak zdrowotna jucha chlupotało bogobojnie gęste, czerwone wino. Rozpalił się rząd brylancików na grzebieniach pani domu. Uśmiechem świetlistym, ząbkami jarzącym gryzły te brylanciki suchą falę jej włosów. Rajdosiła się ustawić na krześle, a szum jedwabiu, szept płótna, które opieszczęło jej pełne nogi, dawał dokładne pojęcie o każdym ruchu ciała. Schylona przez stół tak, że kosmate jej ramię muskało farbowaną brodę sąsiada mecenasa, poprawiała córce rubinowy krzyżyk, wiszący na złotym łańcuszku we wgłębieniu, między cnotliwą wyniosłością niewinnie boczących się piersi.

Prosty człowiek w białych rękawiczkach wniósł nową potrawę. Muszelki z pierożkami z mięsem, zapiekane w buljonie z serem parmezańskim.

Mąż pani domu, ziemisty, spróchniały notariusz świsnął przeciągle w bezdenne dziury czarnych zębów, chyżo uwiązał serwetę, tak, że dwa jej końce białymi rogami wychyliły się z ponad uszu. Zatarł trzeszczące ręce, w całe garście chwycił nóż i widelce i sztorcem postawiwszy, czekał. Zaczęły się ceregiele, bo pani domu, jako-że był cierpiący, nie chciała mu dać potrawy. Fagas, to pana, to pani rozkazem mylony, biegał pokornie od miejsca do miejsca. Córka i syn zaczęli błagać ojca, by nie jadł i nie szkodził sobie. Goście uśmiechali się pobłażliwie, póki pan domu, nareszcie przekonany, sam noża i widelca gwałtownie nie odrzucił.

Potem skulił się i krwawem, złem okiem skrzywdzonego mopsa wodząc po zebranych, dalej żuł swe sucharki.

Pani domu wonną poduszczkę dłoni położyła mu na usta, mówiąc: „Kotuchna niech będzie rozsądną“.

Zaś potrawa przemawiała prosto do serc. Te małe pierożki, niczem małe, smacznej łaskowości pełne. rasowe uszka hrabskie, skąpane w gęstej, krzepkiej, serdecznej wilgoci buljonu, miały na celu pokrzepienie spracowanego organizmu. I tu właśnie ocenić należało przewidującą wychowawczą mądrość kucharza. By krzepić nie nudząc, by nauczając bawić, sprószył pierożki zielonkawym szronem parmezanu. Zaś, by nauka nie szła osobno a praca osobno, by całkowicie zmieszać i przepleść pożytek z przyjemnością, zapieki, figlarz, społem, jedno i drugie. Nie wiesz jedząc, nie czujesz smakując, że gdy podniebienie przekorą sera ubawione, — organizm krzepi się zmiętem mięsiwkiem i buljonem.

Ołóż panowie, tej właśnie strawy rozumem, cnotą i prostodusznym pochodzeniem podochoceni (coż bowiem skromniejszego, wszak pierogi jada pierwszy lepszy chetka-pętka) mówić jeli o sprawach, których opiekunami nauka i porządek społeczny ich ustanowiły.

Gdy mowa o pierogach — ciągnął ochryłym od jedzenia głosem adwokat — gdy mowa o naszych swojskich obyczajowych zabytkach, o naszych swojskich potrawach prosto, gdy mowa o naszym ludzie i chłopku, muszę państwu oświadczyć, że nie jest to takie proste. W każdym razie niepowołane żywioły niesłusznie na nas spychają jakąś tam winę. Czegoż chcecie? Jestem pożądanym człowiekiem, nikogo nie zabiłem, nie ograbiłem — to samo każdy z nas. Każdemu człowiekowi stoi życie otworem.

Tu, córka domu, niepostrzeżenie mówiącego poglądziła po udzie.

Ostatecznie koleje, pocztę, telegrafy, cła, — wszyscy to opłacamy i wszyscy możemy z tego korzystać. Nie moja wina, że chłop z tego korzystać nie chce, czy nie umie. Czy uwierzą państwo, że połowa spraw, z jakimi chłopci do mnie przyjeżdżają, to sprawy przedawnione, nie do wygrania. Tłumaczę im, mówię, przekładam, z jednej instancji przegrywają do drugiej a nie chcą słuchać. Bo mi nie wierzą. Więc się to prowadzi, wlecze, więc się chłop rujnuje, więc adwokat te parę groszy zarabia na co? Na to, by taki chłop powiedział wam, że się wreszcie na sądzie ostatecznym porachuje, a tu na ziemi, by się dalej uważał za oszukanego. Kto winien? Chłop. Niewiara w pana go gubi. Ostatecznie, wogóle tak, jak jego sprawa przegrana, tak i on sam — jest zupełnie przedawnioną rzeczą. To trudno. życie idzie naprzód, co ma wymrzeć niech umiera.

Słuchacze, niby ów smak pierożków posilnie dowcipny, zasłuchali się w słowa mecenasa, który chciał dalej mówić. Lecz pani domu wskazała mecenasowi na stojącego przy kredensie fagasa. Zmieniono rozmowę, by nie demoralizować wiernego sługi.

Dopiero przy następnem daniu — przy wołowej pieczeni szpikowanej słoninką w sosie tatarskim na dziko — objęła gawędą cały stół. Rozruszał się nawet ziemisty notariusz, żądający skrobany bifsztyczek. Mówiło się o większych sferach, koncesjach, masach spadkowych, upadłościach, sekwestracjach, obligacjach, losach loterii św. Krzyża, wreszcie o transakcjach rolnych.

Ten i ów rozpinął ostrożnie pod stołem najniższe guziki kamizelki.

Brat pani domu różowy dentysta, jeden z najbardziej wziętych w mieście, przerwał to wszystko.

Moi kochani — rzekł — dość mam całej tej prozy w życiu. Zresztą kupujcie sobie wy swoje akcje, ja tam, wysoko się nie pnę, będę sobie po staremu nabywać obrazy.

Na których — zaskrzeczał spróchniały notariusz — handlując, zarabiasz sto na sto.

A coż to kogo obchodzi, czy i ile zarabiam? Wolałbyś, by się obrazów nie kupowało i by artyści poumierali z głodu. — Sławny dentysta rozgniewał się i oczy mu zamigotały zimnym blaskiem, niby niespożyte platynowe plomby.

— Zresztą — dodał — nie mógłbym żyć bez piękna i sztuki.

(Dokończenie nastąpi.)





Samobójstwo w kościele. Pisma krakowskie donoszą: W sobotę przed południem w kościele OO. Redemptorystów w Podgórzu po skończonej sumie strzelił do siebie dwukrotnie 31-letni woźny magazynów tytoniowych Józef Flinta. Samobójca wysłuchał mszy św., przystąpił do spowiedzi i komunji św., poczem, po skończonym nabożeństwie wyszedł na środek kościoła i tu popełnił samobójstwo. Na huk strzałów powstała w kościele panika. Na miejscu czynu zjawili się natychmiast pogotowie, które po opatrunku przewiozło Flintę w stanie beznadziejnym do szpitala. Flintę — jak stwierdzono — był człowiekiem umysłowo chorym. Na dzień przed samobójstwem Flinta zakupił kilkadziesiąt klepsydr, wydrukował na nich swoje nazwisko, oraz wyznaczył dzień swojego pogrzebu na sobotę na godz. 3 po południu. Kościół OO. Redemptorystów zamknięto.

* * *

300 dentystów pod sądem. Niebawem w Moskwie toczyć się będzie olbrzymi proces przeciw przeszło 300 dentystom, praktykującym w Rosji, w tej liczbie 9 w Łodzi. Akt oskarżenia, sformowany na 70 stronicach drukowanych, zarzuca im, że skorzystali ze sfałszowanych dyplomów dentystycznych. Olbrzymia „fabryka” tych dokumentów istniała we Smoleńsku, a dyrektorem jej był starszy lekarz powiatu smoleńskiego, Edward Rutkowski. Fabrykacja dyplomów prowadzona była „en gros”, przyczem w różnych punktach państwach działali pośrednicy, trudniący się zawodowo sprzedażą, wreszcie trzecią grupę stanowią osoby, które, nabywszy owe dyplomy, trudziły się praktyką dentystyczną, nie mając w tym fachu odpowiedniego uzdolnienia. Ogółem afera ta obejmuje 400 osób, prokurator zaś ze swej strony powołał 300 świadków. Wszyscy oskarżeni znajdują się na wolnej stopie, po złożeniu poręki.

* * *

Przyszłość lotnictwa. Znany lotnik Graham White wypowiedział w tych dniach swoje zdanie o przyszłości lotnictwa. Zdaniem jego po 20 latach komunikacja napowietrzna pomiędzy Ameryką a Europą będzie zupełnie uregulowaną. Postępy techniki umożliwią budowę aeroplanów mających 300 metrów długości, zaopatrzonych w skrzydła żelazne i mogących unieść do 1000 podróźnych. Aparaty te zaopatrzone będą w motory o sile 175 tys. koni i będą mogły przebiec 300 klm. w godzinie. Czy to tylko nie fantazja?



Nowiny demokrackie.

Co jo se miynia? Jo, Gustlik Beskuryjo, jezdem se s fachu gelegenhajcarbajter, skisz tegó znom sie na wszystkim: na grubach a wérkach, na luft- i zejszyfach, na gazytach, na partyjach, na polityce, na posłach, na podatkach a clach, na wojokach i pikelhaubach ibehaupt na modach i rostmaitych inkszych starościach a ostudach ludzkości tyż nieco. Tako mie towarzysz Mieczkoski (niech żyje sto lot i trocha) molestował, cobych tyż tak napisał nieco o tym wszystkim, co nom wszyjskim dopolo. Jo tam pisać nie moga rychtycznie po polsku, bo mie w szpilszuli a we szkole pruski uczyli jino po fajnymu, a i to ech zaboczoł, jeno tak pisza, jak rzóndza, a tak rzóndza jak mi dziób urós za pozwolyństwem pana Bilowa.

Bo to, wiedzóm, na wszycko musi być terazki przeca pozwolyństwo: hnet a hnet styknie od palagrafów, lepszy mieć je od ministra, jeszcze lepszy od regirunku z Opolo,

ale nolepszy 'od amcforsztejera albo od samygó pana blic-ablajtera w mieście a pana siandara na wsi, bo oni wszyjscy mogom wyynkszy, jak prawo. Kiej siandara co nie pozwoli, tak ani rusz nic nie można, a kiej pozwoli, tak i prawo na bok, aże inkszy nie nałoży sztrofu. Zaś kiej policaj na co pozwolom, to państwo a gmina nałożom podatek: Kiej ci paleta puchnie od móndrości fortragu, to płac fergnigungssztajer; chcesz jeść, to płac podatek od zywności, a jeść musisz, bo inakszy twoje opiekuny nie mieliby wojoków, bo żeby nie to toby zakozali jeść; na opara a presówka tyż nie stykiesz, to, ażeby ci wyfedrować te czeskie, opodatkowali woda, chlóró gruby ściągnęły i tyn kansek cukru, co go ci baba włoży do opodatkowany kawy, kiej idziesz na szychta, a siarki tyż.

Wyinc na policaja trza wdycki pomstować, gierycht nic nie pomoże, to sie weluje ku tymu posłów do lantaku albo sejmu. Naszych tam mało, to ich trza wyynkszy, coby regirunkowi a junkrom a inkszym burżujom pedzieli kuźdymu co noleży, tak kiej dóm z boży łaski pisze se: „Saum cuique”. Podatków nie trza kasować w lantaku, to sie robi w rajchstaku albo parlamyncie,

Sejm je trzyklasowy, a ta niesprawiedliwość a ta włośno chwała „rechsztat Prajsen” to tak som na podoba, kiej pies s kotem. Tyn parlamynt ale to tyż je tako instytucjo gizdosko. Ano, mieli filipa, kiej dowali konstytucyjo, a tyn gupi noród miyniół, iże mo już wszelko wolność. Ale i tam bydzie lepszy, kiej tyn modro-czorny blok rozkurzy sie w proch, a nasza czerwono gromadka wyynkszy, zajmie stołków a łow.

Korfanty padoł na wiecu w Rajchshali, iże nasi byliby za clami, kiejby mieli wyynkszość, ale tak to jino skisz agitycji chyrtoniom przeciw clom. Ale to sie wiy, iże Korfanty je kiepskim prorokiem, bo kiejby bół dobrym, toby nie bół przez 10 roków szlechtował Napiyralskiygó a nie-skorzy do niego poszoł w służba. Wiedziółby tyż, iże we pszczyńsko-rybnickim osmolom kandydatura jego kamrota grofa Mielżyńskiygó, chtóro on narzucó wyborcom, jak dowiedzom sie w tych bożych strónach, iże tyn isny panoczek mo kobyta a inkszy kupiół psa za pora tysiónców. Zaś dobry prorok nie bółby tyż zakłodoł „Poloka” ani „Sylvany” ani tam szklił, bo wyprorokowółby se zawczasu dobro pajałta. Móg sie lepszy spamiyntać na ónygó trojaka „Kajś ta wloz?”

Pono terazki już Gody? Jo bym Im wszyjskim coś doł na dzieciátko, ale som żyja kiej inwalid, co już sie nakłodo do kalycstwa, aby mu obrywano rynta stykła, bo dziada, choć młodygó, nicht nie weźmie do roboty. Okrómm tegó tako drożyzna a biyda, że wszyckie partyje pańskie s ministrami nie mogli ji zabić swoimi mowami. To im tyż wszyjskim skisz tego jino żyzca od serca, żeby tyż roz tak ich w ta tłusto morda pynkła ta nieistniejonco biyda. A na te śwynta, co je majom skasować do połowy, to mom tako kolynda:

Boże Narodzynie to śwynto miłości,
Tu wyborcy wzajem łomióm sobie kości;
Bydom stare dzieje:
Chtós trzeci sie śmieje.
Hej kolenda, kolenda!

Chtó za rzóndem stoi? Chtó przeciw rzóndowi
Takie hasło wydać — biada Berlinowi!
Ale kaj tam rozum?
Same: hura! bum, bum!
Hej kolenda, kolenda!

Kiejbyśmy tak wszyjszy za rynce sie wzyli,
I do gwiazdowa i k'sobie krzyknęli:
Wybow te norody
Z wyynzów a niezgody!
Hej kolenda, kolenda!

Gustlik Beskuryjo.